

Syndrom wschodniego Aleppo

7 stycznia 2017

Kiedy te same mocarstwa, które za pośrednictwem swoich oficerów dowodziły dżihadystami wschodniego Aleppo, udają, że obchodzi ich los jego mieszkańców, choć w rzeczywistości chodzi im o ewakuację swoich żołnierzy, nikt zdaje się nie rozumieć dramatu, jaki przeżyli ci Syryjczycy. Wbrew obwieszczeniom Zachodu, źródłem ich niedoli nie były bombardowania, ale okupacja dżihadystów z zagranicy i ich „szariat”. Niektórzy z nich cierpią na ciężkie zaburzenie psychiczne, które można nazwać syndromem wschodniego Aleppo.

Po czterech i pół roku konfliktu ludność wschodniego Aleppo wreszcie została wyzwolona przez Syryjską Armię Arabską z pomocą Hezbollahu, Rosji i Iranu. Większość 120 tys. mieszkańców, którzy zostali zarejestrowani przez służby państwowe, powitała to zwycięstwo radośnie. Tylko większość.

Z jakichś powodów, choć Syria ofiaruje im wyżywienie, usługi i kwatery, część mieszkańców wschodniego Aleppo oznajmia, że „nie ufają państwu”. Czego się obawiają? Nie zostali przecież aresztowani, a wręcz przeciwnie – przyjęto ich jako dzieci ojczyzny, które długo przebywały w niewoli wroga.

Zupełnie jakby zapomnieli wolność, jaką cieszyli się przed „wiosną arabską”, jakby nic się nie wydarzyło w ciągu czterech ostatnich lat, powtarzają narrację, którą propagowała Al-Dżazira w 2011 r. Zapewniają, że Republika jest dyktaturą, odpowiedzialną za torturowanie dzieci, masakry sunnitów itp.

Po raz pierwszy można w skali miasta stwierdzić fenomen psychologiczny uprzednio obserwowany na poziomie jednostek. Tak jak maltretowane dziecko lub żona czasem bronią okrutnego ojca lub męża i usprawiedliwiają jego zachowanie, tak teraz niektórzy mieszkańcy wschodniego Aleppo przyswoili sobie logikę uciskających ich dżihadystów.

W 1973 r. szwedzki psychiatra Nils Bejerot opisał zespół objawów, jakie stwierdził u klientów banku, których przetrzymywali dokonujący napadu z bronią w ręku bandyci. Sytuacja wymknęła się z rąk. Dwóch policjantów zostało rannych, w tym jeden ciężko. Premier Olof Palme na próżno usiłował przemówić do rozsądku przestępcom, którzy grozili, że będą zabijać zakładników. Pod tą straszliwą presją uwięzieni zdecydowali się nie buntować, a obłaskawiać porywaczy, żeby ci tylko darowali im życie. Od słowa do słowa skończyło się na tym, że powtarzali to, co mówili napastnicy. Próbowali więc odwieść policję od zamiaru przypuszczenia szturm, a jedna z zakładniczek aż zakochała się w jednym z przestępców. Całość tych objawów określa się mianem „syndromu sztokholmskiego” od nazwy miasta, w którym miało miejsce to zdarzenie.

Historia skończyła się tym, że policja użyła gazu obezwładniającego, bandytów ujęła, a zakładników uratowała. Chociaż samo porwanie trwało nie dłużej niż sześć dni, jego ofiary cierpiały na syndrom jeszcze przez dłuższy czas. Odmawiali zeznawania przed sądem przeciwko porywaczom, a wspomniana wyżej młoda kobieta odwiedzała swojego bandytę w więzieniu.

W ubiegłym roku psycholog kliniczny Saverio Tomasella zdefiniował „syndrom sztokholmski” następująco: „jest to zespół objawów charakterystyczny dla naruszenia wewnętrznych granic jaźni człowieka, który musiał bezradnie przyglądać się, jak zostaje zawłaszczona jego pojmowana subiektywnie tożsamość.”

Nie możemy więc liczyć na to, że ci stosunkowo nieliczni mieszkańcy wschodniego Aleppo, którzy cierpią na ten syndrom, prędko wrócą do rzeczywistości. Wręcz przeciwnie – musimy im zapewnić poczucie całkowitego bezpieczeństwa i po raz kolejny wykazać się wielką cierpliwością. Chociaż naszym priorytetem jest bezpieczeństwo naszych żołnierzy i tych, którzy oparli się inwazji, ci cywile są także przede wszystkim naszymi rodakami.

Autorstwo: Thierry Meyssan
Tłumaczenie: Euzebiusz Budka
Źródło: Voltairenet.org